№ 30. Warszawa, dnia 12 (24) Lipca 1886 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

TREŚĆ: Poeta-mściciel. Studyum literackie. — Pajac (wiersz). — Bratki (nowella) (dalszy ciąg). — Teatr. — Obłąkani w Konstantynopolu (dokończenie). — Wiadomości. — Święto narodowe francuzkie. — Rozmaitości. — Z dziedziny humorystycznej. — Zawiadomienie. W Dodatku: Helena Clifford (arkusz 6).

POETA-MŚCICIEL.

STUDYUM LITERACKIE.

PRZEZ

Klemensa Podwysockiego.

Dwaj Bonapartowie dzierżyli berło Francyi. Oba zdobywali je siłą przewrotu politycznego i oba je tracili, dzięki własnemu zaślepieniu. Oba, dziwnem wypadków zrządzeniem, stawieni byli przed kratami sądu głośnego przez synów Apollina. Pierwszy z nich, wielki, zaprawdę, pomimo błędy swe i wykroczenia polityczne, znalazł oskarżyciela w poecie, polotu istotnie orlego, w poecie, karcącym poważnie, szlachetnie. Drugi, którego karyera skończyła się nader smutnie, pozwany był przed sąd potomności przez krytyka gwałtownego, nieznającego miary ni granic w zarzutach i ciężkich oskarżeniach. Chateaubriand wznosił głos wśród milczenia niewolniczego, przeciw pułapce Ettenhejmskiej i morderstwom nocnym w wąwozach Vincennes; mąż ten, prawy i dumny, usunął się z tłumu panegirystów przedajnych, wycofał się z atmosfery krwi, uciekł od tronu zdobywcy, dumą zaślepionego. Stawszy się jedynym oskarżycielem dyktatora za życia jego i po zgonie nawet samotnym i wzruszającym, Chateaubriand, aczkolwiek wstrzemięźliwy w ciskaniu gromów, ściągnął atoli na siebie zarzut, iż był podobnym do potępianego przezeń przeciwnika, równie bezlitośnego pogromcy królów i narodów. Lecz wszystko, co mógł on powiedzieć na potępienie bohatera z pod Austerlitz, Lodi, i Marengo, nie da się porównać z tym zabójczym, przejmującym zgrozą, wykrzykiem potępienia, którym W. Hugo cisnął na cztery wichry Europy, natychmiast po przekroczeniu granicy, w nieszczęśliwego Napoleona III-go. Była to owa protestacya piorunowa przeciw zamachowi 2 Grudnia, protestacya, znana, jak sądzimy, tym nawet, którzy nie czytali owych kart, ogniem ziejących, a kreślonych przez poetę, bądź u stóp wieży Brukselskiej, bądź przy groźnym wtórze bałwanów oceanu.

Pokąd berłowładny przeciwnik zasiadał w Tuileryach, które mu otworzyły armie jego i ośm milionów głosów wyborczych, pokąd mściciel, ów wygnaniec wśród skał samotnych, ciskał pioruny z wyspy ponurej, piorunowania te uważano za zbyt zuchwałe i zarzucano jednogłośnie poecie, iż, w zbytniem dumy zaślepieniu, nie chciał dojrzéć różnicy, zachodzącej pomiędzy nim a obwinianym przezeń monarchą. A jednak... wypadki straszliwe, w jakiż okrutny sposób usprawiedliwiły przewidywania i groźby wieszcza-mściciela!

Jeżeli jego „Châtiments” zdawały się tchnąć dumą zbyteczną i przesadą w przewidywaniach, to wypadki usprawiedliwiły to wszystko, niestety, w sposób nader dotkliwy!... Dotkliwy nietylko dla przeciwnika jego, lecz i... dla ojczyzny mściciela... Przedmiot krytyki, a raczej satyry, sam zniżył się do jej poziomu.

Czytelnicy, którzy gorszyli się zbyt ostremi zarzutami poety, musieli później przyznać, nie bez boleści głębokiej, że nienawiść, a raczej oburzenie jego było bardziej, niż ich umiarkowanie, jasnowidzącem.

My zaś powiemy na wstępie, iż nas, co nie przestaniemy nigdy wyznawać wysokiej czci dla talentu zmarłego poety, niezależnie od jego filozofii religijnej, zachwycają nie te wcale ustępy z „Châtiments”, w których poeta przedstawia się jako zapaśnik zaciekły swego przeciwnika, ustępy te bowiem, nawet pod piórem wygnańca, tchną zemstą pogańską, gniewem niechrześciańskim. Poezya nie powinna zstępować z piedestału ideału, nawet pod wpływem namiętności najzawziętszych. Poezya, z wyżyny, na której ją wieki postawiły, przemawiać powinna do całej ludzkości, nie zaś do jednej jakiejbądź partyi; karci ona w imieniu sprawiedliwości i na stanowisku tem powinna umiéć godność swą zachować; ze wzgardą odrzucać po-

winna precz od siebie owe urazy i nienawiści, które podają miecz zemsty w dłonie szermierzy politycznych i sprawę swą powinna stawić przed trybunałem ojczyzny. Taka poezya uszlachetnia i podnosi do ideału wszystko, czego dotyka, na głos jej wszyscy ludzie, sercem obdarzeni, bez względu na ten lub inny obóz polityczny, do którego należą, otaczają spółczuciem czy prześladowanego, czy wygnańca. Tak wygłoszony, rym olbrzymieje, porywa uwagę najobojętniejszych, wzrusza sumienie wroga najzaciętszego.

Dla nas najwznioślejszą częścią tego poematu W. Hugo, częścią, przed którą wszystkie inne powaby, obficie poemat ten zdobiące, gasną, jest to „Expiacya". Takiemi rysami dumy uroczystej, jak w tej części „Châtiments", W. Hugo mści się szlachetnie. Im wyżej wznosi się myśl na wspaniałych kartach „Expiacyi", tem silniej obarcza poeta przedmiot swego oburzenia. Gdy ciosy z takiej padają wyżyny, wtedy zdają się być ogniem z nieba i uderzają trafniej nierównie, niż furya muzy, która zapomina o swej godności; to też w tej części „Châtiments", gniew poety ma coś w sobie z majestatu przeznaczenia.

Napoleon I-szy, lubo imię jego wielkiem jest istotnie, popełnia zamach występny przeciw prawom 18 Brumaira, i oto, poeta idzie odtąd w ślad za tym monarchą i przypatruje się cierpieniom jego i karom, które nań za przestępstwo to spadają. Jest to najprzód „Odwrót z Rossyi", „olbrzymia armia, która w śniegach północy znajduje całun olbrzymi." To pierwszy cios, spadający na tego półboga wojny.

I był on, jak król puszczy, gdy nań topor spadnie.
Na olbrzyma, na wielkość, rozpartą wszechwładnie,
Nieszczęście, drwal złowrogi wdarł się... I... sromoto!
Toporem znieważony, cedr żyjący, oto,
Drżąc pod widmem zaciekłem, ochronić nie zdoła
Konarów, spadających z łoskotem dokoła!

(*Dokończenie nastąpi.*)

PAJACO.

Hej! pójdźcie popatrzéć, wesoło dziś skaczę
I śpiewam i tańczę, wywijam koziołki,
Dopieroż to dzisiaj swych widzów uraczę,
Ustawię na głowie swe dzieci i stołki!

Hej! żywo kapela! i dzwonki niech dzwonią,
Tam na mnie pod strychem czekają w alkowie
Łzy gorzkie, bo z głodu dzieciaki je ronią,
I żona umarła, ta nic już nie powie.

Hej! żywo kapela! ty żywo Pajaco,
Tu nie czas na skargi, na płacze i żale,
Ty śmiej się, groszami ci za to zapłacą,
I wyjdziesz wśród skoków zwycięzko w swej chwale.

No, córko! cóż szlochasz, czyż płacz cię nakarmi?
Weź żywo bębenek i suknię szychową,
Ty chłopcze weź dzwonki i dalej za nami,
Inaczej... inaczej śmierć macie głodową.

I wyszli więc wszyscy, choć w sercu tęsknota...
Lecz smutek, tęsknota nie żywi, nie syci,
I dalej w podskokach, wszak to ich robota,
Niech skaczą, choć w oczach łza żalu się świeci.

Więc stary Pajaco przybrany wspaniale,
Tak skacze i tańczy, że przeszedł sam siebie,
A dziewczę ubrane w fałszywe korale,
Dzielnie go uśmiechem wspomaga w potrzebie.

I chłopcy jak mogą, tak grają swą rolę,
Bo po niej dostaną już chleba do syta,
Choć bose ich nogi bruk ostry zakole,
To cóż tam wielkiego, zaboli i kwita!

Więc żywo, wesoło, ot skończy się zaraz...
Ostatnią swą sztukę przedstawia Pajaco,
A potem grosiwa sypnie się dość naraz,
Wszak hojnie za sztuki widzowie zapłacą.

Młodszego na głowie postawił więc syna,
A gawiedź mu sypie wesołe oklaski,
Nad synem się czepia sześćletnia dziewczyna...
Strach patrzéć, lecz śmiechy się wznoszą i wrzaski.

„To zręczność" — wołają — „sypniemy mu grosza,
Dziś Pajac nasz stary jest w dobrym humorze,"
Dziesiątki się sypią dziewczęciu do kosza,
Jest rubel i więcej, och! więcej, a może...

Wtem śmiechem zaryczał ów stary Pajaco,
A skądże śmiech taki, śmiech straszny, szalony?
Wesołą zabawę widzowie utracą,
Bo u stóp starego, trup dzieci skrwawiony...

Z nad głowy mu spadła najmłodsza dziecina,
W nim ojciec się ozwał; przestał być Pajacem,
On chciał ją ocalić i zrzucił sam syna,
A dwoje skaczących rzuciło się z płaczem.

Pajac zaś całował zabite swe dzieci,
Choć krwią ich gorącą ociekły mu szaty,
W oczach mu szalony blask taki zaświeci,
Jako lwu, co rzuca spojrzenie przez kraty...

Wtem krzyknął donośnie: „Gawiedzi, to tobie,
„Wszakiem ja obiecał, że was dziś zabawię!
„Więc czegóż żądacie? te zabieram sobie,
„Tych dwoje żyjących, te zaś wam zostawię.

„Aby ród pajaców pośród was nie zginął,
„Lecz szerzył jak dotąd próżniactwa zgniliznę,
„I z skoków i z tańca, jak dawniej zasłynął,
„Bierzcie je, to dla was, zostawiam spuściznę."

I skoczył i jęknął i upadł nieżywy...
A ludek się rozszedł, lecz zdziwiony został,
Zkąd Pajac wziął serce, zkąd on taki tkliwy,
Że upadł i w zwykłym podskoku nie powstał?

Z. Morawska.

BRATKI.

NOWELLA

PRZEZ

HELENĘ.

(Dalszy ciąg.)

Jesień ślicznie się zapowiadała, choć były to już pierwsze dnie września. Promienie słoneczne świeciły jasno, powietrze było łagodne i ciepłe. Zwłaszcza na wsi jesień posiada wiele uroków, wiele piękności właściwych tylko lasom o gdzieniegdzie żółtych i czerwonych liściach, odbijających od zieleni drzew i polom, na których świeżo zasiane zboże kiełkuje, jako zapowiedź przyszłych plonów i zbiorów. Traktem, wiodącym z Lublina do Hrubieszowa, jechał powozik, zaprzężony w konie rosłe, siwe, a w nim młody człowiek, z niecierpliwością i ciekawością rozglądający się po nieznanej mu widać okolicy. A była to okolica piękna i żyzna, wszędzie widniały pola starannie uprawiane i rozległe łąki umiejętnie zawodnione i wielkie lasy śpilkowe i liściaste. Właśnie w tej chwili wjeżdżali na groblę graniczącą z pięknie zabudowaną wioską.

Po obu stronach drogi ciągnęły się chaty włościańskie, czysto wybielone, okolone ładnemi owocowemi i warzywnemi ogrodami. Słońce świeciło jeszcze dość wysoko, wszyscy więc mieszkańcy byli przy pracy w polu, lub przy młynie wodnym, który stał nad groblą. Młodzieniec przypatrywał mu się i dostrzegł, że miał spusty urządzone według najnowszego systemu, mało u nas jeszcze znanego. Zapuszczając się dalej w głąb wsi ujrzał śliczny, wiejski kościołek ogrodzony żelaznemi sztachetkami, a przed nim posąg Matki Bozkiej pięknie z kamienia wyciosany. Tuż obok stał domek proboszcza miejscowego z malowanemi okienicami, otoczony klombami malw różowych i niebieskich tojadów.

Kwiaty zdobiły też wszystkie zamożniejsze dworki wiejskie. Na drodze nie spotkał podróżny ani jednego żebraka, lub dziecka wałęsającego się w brudnej koszulce, jak to często się zdarza; a przeciwnie na przyźbie jednej chatki zwróciła jego uwagę kilkonastoletnia dziewczynka, która siedziała z książką w ręku i pilnowała młodszego braciszka, zajętego pleceniem koszyczków złoziny. Mimo chłopskiego ubrania znać było, że dziewczynka miała umysł, którego rozwinięciem ktoś się zajmował, a jej serduszko bijące pod skromną opończą, ktoś wiódł do poznania prawdziwego dobra i cnoty.

Opodal wznosiła się szkółka wiejska, w obecnej porze pusta i zamknięta, ale która przed parą godzinami wrzała życiem, odbijała od ścian swych głosiki dziecinne, ich śmiechy i ciekawe pytania. Duży dom stał obok szkółki, miał okna pozasuwane i dziwna cisza tam panowała; przypatrywał się mu podróżny, ale nie mógł zrozumiéć jakie miał znaczenie. Powozik długo jeszcze krążył po uliczkach wioski, aż wreszcie wjechał na obszerny plac, gdzie widać było spichrze i magazyny ze zbożem. I tu także panował wzorowy porządek; świeżo przywiezione worki z pszenicą rachował i zapisywał jakiś niemłody człowiek; znać rządca, lub

ekonom. W całej wsi widniał dobrotyt, wielki ład, dobre zagospodarowanie, zdawało się, że jakiś duch opiekuńczy, otulił swemi skrzydły wioskę i jej mieszkańców. Na twarzy gospodyń, żwawo się krzątających i robotników wracających od pracy i dzieci czysto poubieranych, wyczytać było można wesele i spokój. Ta miła atmosfera porządku i pracy przyjemnie oddziaływała na podróżnego.

— Co to za wieś? — zapytał woźnicy.

— Tęczowa — odparł furman.

Usłyszawszy tę nazwę Jerzy, gdyż to on był tym podróżnym, jeszcze więcej się zdziwił. Jakto, pomyślał, ja byłem przekonany, że to jakiś energiczny mężczyzna siłą swej woli i rozkazów tak umiejętnie zagospodarował swój majątek, a to wszystko jest dziełem kobiety.

Nie mógł w to uwierzyć i dlatego rzekł do woźnicy, który był z Tęczowej wysłany po niego na kolej:

— Zapewne pan hrabia, mąż pani Horskiej, zostawił jej tak pięknie tę wieś zagospodarowaną?

— Pan hrabia?! — zawołał ze zdumieniem stary sługa — ależ on nie wiem, czy dwa razy był tutaj. Tęczowa jest wyłączną własnością mojej pani, wszystko dobre co pan tu widzi, to ona, zwłaszcza p. Herminia, nasza starsza panienka zdziałała.

— Panna Herminia? — powtórzył z zadziwieniem Jerzy.

— Tak, ona, wróciwszy pięć lat temu z Warszawy, tak zaczęła prosić i błagać p. hrabinę, aż jej pozwoliła pomagać sobie w gospodarstwie. Była tu już wtedy i szkółka i młyny, ale stara pani nie miała dość siły, aby tem wszystkiem samej się zająć, bo jest chora i znękana. Panienka więc, jak się tylko wzięła do pracy, zaraz sprowadziła nauczycielkę i książki do szkółki, rozumnych mechaników do młynów, założyła szpital dla starych i dom opieki dla dzieci i sama jak siostra całą wsią się zajęła. Tak, tak, Bóg pobłogosławił nam zsyłając w postaci ukochanej naszej panienki, anioła opieki i zbawienia.

Kończąc swą rozprawę stary Wincenty, zasłużony sługa hrabiny Horskiej, otarł łzę rozrzewnienia. Dziwnie zaiste było patrzeć na tę marsową twarz, pooraną licznemi bruzdami, na te krzaczaste siwe brwi, wielkie sumiaste wąsy i szeroką bliznę nad czołem, świadczącą o męztwie dawnego sługi wojaka, w tej chwili, gdy czysta łza spływała po policzkach, wywołana wzmianką o ukochanej panience. Ale bo też Wincenty bardzo był przywiązany do domu hrabiny.

Stary sługa pamiętał jak 25 przeszło lat temu, dwór w Tęczowej jaśniał rzęsistem oświetleniem, gwarno tam było i wesoło, bo w domu tym odbywało się wesele młodziutkiej Wandzi Łęckiej z pięknym hrabią Horskim. Wincenty wtedy już służył za furmana i odwoził szczęśliwą parę nowożeńców z kościoła do domu. A potem pamiętał jak ich wiózł na kolej, jak stara p. Łęcka płakała, żegnając się z córką, a gdy pociąg ruszył by zawieźć ich w odległe południa krainy, rzekła do Wincentego: „pojechał nasz skarb."

— W parę lat później przyszła na świat Herminia, gdy dziecię utulone w poduszkach, matka ukazała służbie i wieśniakom, Wincenty uczynił znak krzyża nad jej główką i powiedział:

— Niech zdrowa rośnie, niech godną będzie swej matki.

A potem, potem, Wincenty poszedł na wojnę i bliznę otrzymał nad czołem, a gdy wrócił wszystko się zmieniło. Hrabina samotna i smutna osiadła w Tęczowej, dwa aniołki były całą jej pociechą. Przy niej pozostał dawny także sługa Jacek. Wrócił Wincenty i został tam razem z panią. On i Jacek dwaj starzy słudzy, uważani byli teraz przez hrabinę za prawdziwych przyjaciół.

— Ja i Jacek — rzekł po chwili Wincenty — my na te wszystkie czyny panienki najbliżej patrzymy i najgoręcej ją miłujemy.

Gdy wymawiał ostatnie słowa wjechali w piękną, topolową aleję, poczem skręcili na prawo i oczom Jerzego ukazał się cel jego podróży, dom narzeczonej.

Dwór w Tęczowej był stary, zbudowany z modrzewiowego drzewa, otoczony wieńcem starych lip i klonów. Z jednej strony jego ciągnęła się werenda z zielonego bluszczu, którego gałązki pięły się na dach gontowy i przez otwarte okna zaglądały do wnętrza. Nad drzwiami wchodowemi wyrzeźbiony był herb, wyobrażający łuk i cięciwy opatrzony szlachecką koroną.

Przed domem rozciągał się szmaragdowy trawnik, ozdobiony kląbami ze stokrotek, rezedy i bratków; po środku jego stał elegancki gołębnik, nad którym unosiło się stadko białych i szarych ptaków.

Cicho, spokojnie było w tym domu; atmosfera surowej powagi, połączona z jakiemś ciepłem serdecznem owiewała stare ściany dworu, znać było, że to przybytek skromnej, cichej pracy, mieszkanie osób żyjących dla pewnych zakreślonych użytecznych celów.

Z bijącem sercem przestąpił Jerzy próg tego domu, w wielkiej, oszklonej sieni, przybranej rogami jeleni według dawnego jeszcze zwyczaju, powitał go Jacek, stary, siwy lokaj, o twarzy jeszcze dość czerstwej mimo wieku. Surowe zarysy ust, groźnie ściągnięte brwi, zasępione czoło, świadczyło o jego usposobieniu chmurnem i milczącem. Nie miał tak pociągającej twarzy, jak poczciwy Wincenty, nie był chętnym do wynurzeń i gawędki jak ten ostatni, przeciwnie, poważny i zamyślony zawsze przesuwał się po komnatach starego domu milczących i starych, jak on. Ale bo też, gdy Wincenty widział hrabinę w chwilach szczęścia i wesela, Jacek oglądał ją smutną, łzawą choć zrezygnowaną. Złamane jej życie, zdało się oddziałać na przywiązanego sługę, widział je, znał wszystkie jego szczegóły. On i jego pani zawsze także smętna, tak się z sobą zżyli, iż umieli czytać wzajemnie w swych twarzach. Jacek kochał bardzo hrabianki, ale zwyczajem starych sług, widząc je rosnące w swych oczach, mniemał się w prawie czasem nawet gderania na nie, co mu się łatwo przebaczało. Poważna Herminia wzbudzała w nim takież prawie poszanowanie jak sama hrabina, ale żywa, figlarna Wilunia, której często zdarzało się być nieuważną, lub roztrzepaną przy gospodarstwie, często słuchała gderań staruszka, który mimo tego fanatycznie ją kochał i na samą myśl przywitania narzeczonego drogiej panienki, przybrał na siebie jak mógł najweselszą i najbardziej uprzejmą minę.

— Panie zdrowe? — zapytał go Jerzy, zrzucając podróżny płaszcz.

— Zdrowe, Bogu dzięki — odrzekł Jacek — czekały na pana z niecierpliwością.

Jerzy był też niemniej niecierpliwy, szybko oswobodziwszy się z płaszcza, wszedł do wskazanego mu przez Jacka pokoju. Była to duża jadalnia z dębowym stołem po środku, takimże kredensem i pułkami na srebro. Na ścianach wisiały stare portrety dzielnych kontuszowych mężów i niewiast bogobojnych, nad stołem zwieszała się ciężka bronzowa lampa.

Przeszedłszy przez jadalnią Jerzy znalazł się w widnym salonie z gustem umeblowanym, nie zastał tam nikogo, zdziwiło go to, ze wzruszeniem i niepokojem odchylił więc szafirową adamaszkową portyerę i stanął na progu ślicznego, różowego buduaru, z rozkoszą przypatrując się zjawisku, które mu się ukazało. Na miękkiej, jedwabnej kozetce leżała na wpół, śliczna postać dziewczęcia, główka okolona aureolą złotych loczków, wsparta była o poduszkę; fałdy białej kaszmirowej sukni układały się w misterną draperyą, na łabędziej szyjce lśnił sznur ponsowych korali, a nad czołem rozchylał listki świeży kwiat werbeny. Oczki szafirowe miała cudnie wzniesione do góry i marzyła, marzyła, a znać błogie to były marzenia, bo po ustach przebiegał miły uśmiech. Obok niej na stoliczku leżało album, przybory do rysunku i stał wazonik z kwiatami.

Zachodzące w tej chwili słońce różowym blaskiem oświetliło pokoik pełen kwiatów, woni balsamicznej i śpiewu kanarków, zawieszonych w klatce na oknie. Była to Wilunia. Jerzy patrzał na nią z zachwytem i miłością. W tej chwili wzrok jej padł na młodzieńca stojącego w progu, żywo zerwała się z kozetki i wyciągając do niego drobne swe rączki zawołała radośnie:

— Ah! Jerzy... pan Jerzy.

On pochwycił te rączki i namiętnie je do ust przycisnął. Chwilkę tak stali, topiąc wzrok w sobie nawzajem, a ręce ich splatał długi, serdeczny uścisk.

— Tak tęskniłam — rzekła wzruszona Wilunia — bo też to wieki, jakeśmy się nie widzieli, ah! te czarowne nasze franzensbadzkie czasy wrócą się przecie teraz... pan tak cicho zajechał, że nic nie wiedziałam o jego przybyciu.

Jerzy ciągle zatrzymując jej rączkę w swej dłoni odpowiedział:

— Pani tęskniłaś, doprawdy za mną? nie słyszałaś żem już przyjechał, więc nagłe zjawienie się moje było niespodzianką? droga moja... p. Wilhelmino!

Ona pociągnęła go i siedli oboje na kozetce. Jerzy nie mógł dość nacieszyć się ukochaną, której widoku był tak długo pozbawiony. Wesoło i swobodnie rozmawiali w różowym buduarze.

— O zdrowie nie pytam nawet — mówił on — bo widzę cię pani różową, uśmiechniętą, piękną... jak zawsze.

— O zupełnie jestem zdrowa, a w tej chwili takie szczęście napełnia me serce... ale zawsze myślałam o panu i dzisiaj także, rysując przed godziną ten bukiecik kwiatów. To mówiąc Wilhelmina podała mu album, gdzie na białej kartce subtelnie wycieniowany był bukiet z natury.

— Drogie moje rączki ślicznie to nakreśliły — odpowiedział Jerzy, przyglądając się rysunkowi.

W tym momencie weszła do buduaru hrabina i zastała młodą parę pochyloną nad albumem. Ostatni promyk słońca, oświetlił jasne i ciemne głowy zakochanych, widok ten rozrzewnił i wzruszył hrabinę.

Jerzy, ujrzawszy ją, witał pełnym uszanowania ukłonem, dopytywał się o stan zdrowia, poczem wszyscy troje zajęli miejsce na wygodnych fotelikach i pogawędka toczyła się żywa. Gdy się ściemniło przyniesiono dużą lampę z chińskiej porcelany, przy świetle której, Jerzy mógł dobrze rozejrzeć się po tej krainie wieszczki, jaką przedstawiał różowy pokoik. Pełno tam było cudnych cacek i fraszek, pod oknem stał koszyk złocony z kwia-

tami, na marmurowych konsolach świeciły piękne bronzowe lichtarze, w ścianie zaś przeciwległej w niszy umieszczony był alabastrowy posąg Mickiewicza.

Na ścianach wisiały obrazy, między niemi wyborna kopia Goplany Pileckiego. Na tle różowego obicia wśród tego nagromadzenia arcydzieł sztuki i bogactw wyszukanej elegancyi, ślicznie rysowała się postać uśmiechniętej Wiluni i zawsze smętnie zamyślona twarz siwej hrabiny. Jerzy z przejęciem mówił o wzorowym porządku i wybornem zagospodarowaniu Tęczowej, twierdząc, że już w przejeździe mógł to ocenić. I zdawało mu się, że rzeczywiście wróciły dobre czasy franzensbadzkie, o których wspomniała mu Wilunia... wszak znów był przy swojej narzeczonej, znów w towarzystwie miłych mu osób.

A jednak nie czuł się zupełnie spokojnym, czuł, że mu czegoś brakuje... obecności poważnej i smutnej... panny Herminii... Dziwił się, że jej nie widzi i zapytał o jej zdrowie. Hrabina oznajmiła mu, że córka jej jest zdrowa, ale bardzo zajęta. Przywiodło mu to na pamięć słowa Wincentego, uczuł coś jak poszanowanie dla tej kobiety, tak pracowitej i dzielnej, było mu przykro, że nie zajmuje ona miejsca wśród tego grona, przywykł był bowiem zawsze widzieć przed sobą w Franzensbadzie obok wesołej Wiluni, jej spokojną głęboko myślącą twarzyczkę.

Zegar ścienny wybił pół do ósmej, godzinę o której w Tęczowej zwykle pijano herbatę.

Ciężka adamaszkowa portyera uchyliła się, w progu zarysowała się wysmukła, wyniosła postać Herminii.

Miała na sobie skromną, popielatą suknię z czarnym aksamitem; ciemny ten ubiór wybornie harmonizował z poważnym wyrazem jej twarzy; oczy jej jak zawsze były spokojne i głębokie, ale na ustach igrał teraz półuśmiech pogody i zadowolenia. Za nią ukazały się dwie jasne główki, dwóch małych dziewczynek.

— Witam panią — zawołał Jerzy, podając jej rękę.

Ona odpowiedziała grzecznym ukłonem, lecz bardzo obojętnym i końcem palców dotknęła jego ręki. On dłużej nieco się jak zwykle zatrzymał końce tych długich paluszków, patrzał na nią, ale daremnie szukał w jej wzroku wyrazu tego gorącego uczucia, jakie malowało się w niej, gdy z miłością podtrzymywała siwą głowę matki w pamiętnej chwili pożegnania.

— Pan Jerzy dopytywał się o zdrowie twoje, Herminko — odezwała się do siostry Wilunia.

— Dziękuję panu, jestem zupełnie zdrowa. Zosiu, Wańdziu — dodała, zwracając się do dwóch małych dziewczynek, które ciekawemi oczkami mierzyły Jerzego — ukłońcie się grzecznie. Przedstawiam panu moje dwie wychowanki.

Miluchne dziewczynki dygnęły zgrabnie. Jerzy ze zdziwieniem ujrzał te dwie drobne istotki towarzyszące Herminii, nie spostrzegł ich wejścia, a nowy charakter opiekunki, w jakim przedstawiła mu się starsza panna Horska, zjednał jej w jego oczach większe jeszcze poważanie... może sympatyą.

Gdy w kilka chwil potem w obszernej jadalni, wszyscy zasiedli do herbaty, wyniosła i obojętna, jak mu się zdawało p. Herminia, z taką macierzyńską prawdziwie starannością zajmowała się dziećmi, tak cierpliwie i ochoczo odpowiadała na ich zapytania, a przytem z takiem głębokiem uczuciem pieczołowitości i przywiązania uściskała na dobranoc różowe buziaczki dwóch biednych sierotek, iż Jerzy patrzał na nią z uznaniem, niemal z uwielbieniem.

Dzień niecały przebył w Tęczowej, a ileż to już gorących słów zachwytu słyszał z ust starego sługi o niej, to co podziwiał w przejeździe miało być jej dziełem. W Franzensbadzie widział ją kochającą, matce oddaną tylko córką; teraz znów miał ją przed sobą jako dobrą troskliwą opiekunkę ciepłem swego uczucia ogrzewającą dwa malutkie serduszka, pozbawione starań matki. Ta piękna, poważna idąca śmiało drogą obowiązku i pracy kobieta, zaczęła go żywo zajmować; była to dla niego jakaś zagadka, młoda, dumna, wyniosła p. Herminia, tak zimna i obojętna, a jednak umiejąca wykrzesać z swej duszy prawdziwy płomień miłości, oświetlający życie ciemne i stroskane matki staruszki, będący gwiazdą przewodnią dla całej wioski.

Wieczór spędził Jerzy bardzo przyjemnie, dawno już tęsknił do chwili przebytej obok swej miłej narzeczonej w otoczeniu miłości i przywiązania.

Widział przed sobą szereg dni jasnych, ozłoconych rozkoszą serca i marzeniem o przyszłości, a później... później widział życie swe słodkie i barwne upięknione obecnością ukochanej osoby, jego wdzięcznie uśmiechniętej Wiluni. Dlatego też z uśmiechem zadowolenia i szczęścia oddał Jerzy dobranoc narzeczonej, matce jej i siostrze. Czuł się nad wyraz szczęśliwym; zdaje się, że pod wpływem uroczych oczów Wiluni wszystko mu było miłem w Tęczowej, narzeczona wydała mu się jeszcze piękniejszą, hrabina słodszą i bardziej uprzejmą jak zawsze, p. Herminia sympatyczniejszą, a nawet chmurna twarz Jacka, który wskazywał mu jego pokój, mniej posępną i smutną. O szczęście, szczęście!... jakżeż blizkiem się nieraz wydajesz... a jednak jesteś tak dalekiem... do osiągnięcia!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Baron cygański, operetka Jana Straussa.

Rzecz do tej operetki wziętą jest z nowelki Marusa Jokaya, i odznacza się nastrojem dość poetycznym, dalekim od przesady zwykłych podobnych utworów.

Sandor Barinkay, syn emigranta dzięki staraniom hrabiego Homonay powraca do ojczystego gniazda, a radzca komisyi moralności Conte Cornaro, wprowadza młodego dziedzica w posiadanie dóbr niegdyś rozległych, ale obecnie złożonych ze starego tylko zamku w ruinach i wioski zamieszkałej przez cyganów.

W sąsiedztwie jego osiedlił się niejaki Kalman żupan, zapalony hodowca trzody chlewnej, który sam siebie nazywa królem wieprzów. Pomimo jednak tak prozaicznego upodobania, Kalman nadzwyczaj kocha córkę swoją Arsenę, która naturalnie jako dziewica teatralna jest pełna powabu i urody i kocha Ottokara syna guwernantki swej Mirabelli.

Żupan Kalman z obawy procesów z sąsiadem tak niespodziewanie spadłym mu na kark, przedstawia córkę swą Barinkayowi, który, jak to zwykle dzieje się na scenie teatralnej, zakochuje się w niej po uszy i oświadcza się Arsenie. Panna blednie, miłość jej dla Ottokara nie dopuszcza zdrady, pragnąc więc jakimbądź sposobem wykręcić się zgrabnie z przykrego położenia, oświadcza, że ręki swej nie odda jak tylko człowiekowi mającemu pewne stanowisko z tytułem przynajmniej barona.

Odpowiedź tak stanowcza obraża młodzieńca niewymownie, w powrocie też do domu poznawszy młodą cygankę, której urodą zostaje oczarowany a prostotą zachwycony, postanawia Arsenie pięknem zapłacić za nadobne, czyli wzgardą za wzgardę.

W takim zamęcie myśli młodego bohatera, zjawia się gromada cyganów wracających z pola od pracy. Cyganie w nieznajomym poznają potomka swego dawnego pana i okrzykują swoim wojewodą, baronem. Możność więc odwetu zdobytą została i Barinkay jako baron przyzywa Żupana i jego córkę i przedstawia im powabną Safi jako przyszłą swą żonę, z niezmierną radością cyganów a oburzeniem Żupana i Arseny.

W drugim akcie w zamku Barinkaya, Safi opowiada swej matce, starej Cyprze sen, w którym cień ojca polecił jej szukać skarbu pozostawionego niegdyś przezeń w tajemniczem zachowaniu. Skarb ten rzeczywiście zostaje odnaleziony, ale jednocześnie odzywa się pieśń werbunkowa, ojczyzna bowiem zostaje zagrożoną i potrzebuje obrońców. Wszyscy zatem śpieszą w ich szeregi, Barinkay oddaje skarb znaleziony na potrzeby ojczyzny a stara Cypra wyznaje, że Safi nie jest jej córką, ale dziecięciem jakiegoś księcia tureckiego, na co odpowiednie a niezbite składa dowody.

Barinkay zakochany po uszy w mniemanej cygance, nagle czuje się niegodnym dziewczęcia tak wysokiego rodu i pomimo jej błagań zaciąga się do huzarów.

W akcie wreszcie trzecim pod bramami Wiednia, Barinkay godzi się z wypadkami, łączy się związkiem małżeńskim z cygańską księżniczką a Żupana prosi o rękę Arseny dla Ottokara za waleczność nagrodzonego orderami i tytułem barona. Tak więc Arsena wyszła za barona jak postanowiła, a Barinkay dokonał odwetu łącząc się z dziewicą wyższego od Arseny rodu.

Wystawienie tej sztuki uillustrowanej ładną muzyką Straussa, z poważniejszym zakrojem i należytem obrobieniem, było nader świetne i staranne.

Pani Święcka w roli Safi prześlicznie się przedstawiając, wykonała wszystkie muzyczne ustępy z ogólnem słuchaczy zadowoleniem. Panna Manowska jak zwykle pełna życia i poczucia artystycznego, równie była oklaskiwaną. Pani Filebornowa z dobrem bardzo pojęciem odtworzyła postać starej cyganki, pan Misiewicz był dobrym Sandorem Barinkayem i razem z panią Święcką odbierał zasłużone oklaski, pan Rzecznik wybornie odśpiewał ważniejsze ustępy swej roli a panowie Morozowicz i Dyliński rozśmieszali zgodnie z ogólnym nastrojem prawdziwie artystycznym całego przedstawienia.

Nie umniejszając zasługi utalentowanych artystów w starannem przedstawieniu operetek komicznych, czuję się w obowiązku zwrócić ich uwagę, że w sztukach tego rodzaju, nie tyle idzie o śpiew i sposób jego wykonania jak o wyrazy pod niego podłożone, które główną ozdobę podobnych

utworów stanowią. Gdy te są niezrozumiale wyśpiewane, cała wartość operety ginie, bo zwykle w nich cały komizm się mieści. Z młodszej generacyi artystów, wchodzących do składu Teatru Nowego, jeden tylko p. Morozowicz co śpiewa tak jak właściwie w operetach komicznych śpiewać należy. Inni artyści z pewnością lepszy głos od niego mają i może lepiej śpiewać umieją, ale on jeden co stara się być w tekście zrozumiałym i każdy wyraz wymawia tak, aby był należycie jak potrzeba słyszanym. Dlatego każdy występ p. Morozowicza witany zawsze zostaje przez publiczność z wielką życzliwością, radzimy zatem naśladować go tak w śpiewie jak w mówieniu, szczególniej przez artystki, których z natury głos sopranowy zwykle o sile niezbyt wielkiej, staje się przy wyciąganiu tonów i prędkiem wymawianiu zupełnie niezrozumiałym.

OBŁĄKANI W KONSTANTYNOPOLU.

(Dokończenie.)

Ale obłąkane kobiety nie cieszą się takiem uznaniem. Nieszkodliwe trzymają w domu, starym dają dość wolności, lecz młodych zwłaszcza jeźli ubogie rodziny nie są w stanie trzymać ich w zamknięciu, zbyt niewygodnem i męczącem, często bardzo pozbywają się, pozbawiając je życia.

W razie gdy Turek postrada rozum, rodzina i przyjaciele przyczepiają kawałek ubrania jego do zakratowanego okna grobu jakiego świętego i wywiesiwszy ten rodzaj chorągwi, oczekują pobożnie pomocy niebios. Jeźli święty jest źle dla nich usposobiony i nie zważa na łachman powiewający w pośród innych różnobarwnych do każdego ogniwa kraty, wtedy udają się do jakiegoś słynnego szeika lub żebraka znanego z pobożności, ich używając pomocy. Ci zbliżają się uroczystym krokiem do biednego waryata zażywszy pierwej *haszisu*, przestraszają go wrzaskiem, pociągami magnetycznemi i biciem, przy okrzykach „Allah! Allah!" i trwa to często przez całą noc.

Gdy Turcy taką czcią otaczają waryatów, Grecy, Armeńczycy i Bulgarzy, czuwanie i opiekę nad obłąkanemi pozostawiają wyłącznie swoim zgromadzeniom religijnym. Przy wszystkich kościołach i wielu klasztorach, urządzone są cele dla obłąkanych.

Tam przykuty do muru, pod opiekuńczą postacią jakiegoś miejscowego świętego, nieszczęśliwy waryat wlecze nędzny swój żywot w ciemności i największym nieporządku, opuszczony i zapomniany zarówno przez przyjaciół jak i nieprzyjaciół i tylko od czasu do czasu odwiedza go braciszek zakonu, który za jedyny środek lekarski przepisuje bicie i pozbawienie żywności.

Grecy i Armeńczycy stale zamieszkali w Konstantynopolu, mają swoje szpitale, a przy nich po parę celek przeznaczonych dla obłąkanych rodaków; ale biedni ci ludzie nie są tam bynajmniej poddani właściwej kuracyi, leczą ich tylko eksorcyzmowaniem, to też mało który odzyskuje rozum.

W całym więc Konstantynopolu, jeden tylko szpital *Solimana* przeznaczony jest wyłącznie dla waryatów, jest on zbudowany na pochyłości wzgórza, na szczycie którego wznosi się meczet Solimana. „Dari Szifah" jest to budynek czworokątny, bez żadnego stylu. Na lekkich arkadach, wznosi się do koła kryta galerya, na którą wychodzą zakratowane okna sali i celek.

Za życia założyciela i bezpośrednich jego następców, liczba przyjmowanych do niego obłąkanych, ograniczała się do dwudziestu, a opieka nad nimi powierzona była 150 urzędnikom. Ma się rozumieć, że taka mnogość opiekunów żadnego prawie nie miała zajęcia, wszyscy jednak nosili wysokie tytuły, co ogromnie wbijało ich w pychę. Naczelny kucharz miał do posługi cały legion kuchcików i pomywaczy. Prócz tego był naczelnik kąpieli, masarz, cały szereg strażników, dozorców, zamiataczy, roznosicieli lekarstw, nosiwodów, golarzy, nadzorców składów, a wszyscy mieli przepisane odpowiednie mundury. Niektórzy z tej służby mieli obowiązek trzymać za ręce i za nogi niespokojnych waryatów, aby dopomagać liktorom wymierzającym biedakom kijobicie, przepisane jako środek uśmierzający i łagodzący.

Dwa razy do roku przybywali do zakładu krawcy i kuśnierze, otoczeni rojem czeladników, aby brać miarę na ubrania obłąkanych, wykończane z drogich tkanin i oszyte kosztownemi futrami. Jeźli nie było w zakładzie dwudziestu obłąkanych, wyżsi urzędnicy zakładu przedstawiali kogoś ze swoich krewnych niezamożnych i ten dostawał kosztowny ubiór za skarbowe pieniądze.

Pod względem leczenia, uciekano się już to do bicia, już do zlewań zimną wodą, ale w ogólności pacyentom nie zbywało na niczem, a nawet mieli jedzenie wytworne. Strzelcy zakładu, obowiązani byli dostarczać zwierzyny, dozwolonej przez Mahometa, ma się rozumieć, że najlepszą zjadali administratorowie zakładu.

Jakże zmienił się stan rzeczy w trzy wieki po śmierci Solimana! Z przeszłości pozostały tylko łańcuchy i okowy używane do uspakajania waryatów. Zdarzyło się, iż liczne gmachy publiczne zamienione zostały na składy wojenne i jakiemuś paszy przyszło do głowy, aby ze względu braku pieniędzy w Skarbie, zająć gmach mieszczący menażeryą sułtana Ahmeta, a przenieść ją do zakładu obłąkanych. Pomysł ten niezwłocznie został wykonany i bramy zakładu otwarły się dla publiczności fanatycznie zamiłowanej w swojej menażeryi. Odwiedzający ją mogli się tedy nasycić widokiem dzikich zwierząt, żyjących wśród istnej menażeryi ludzi równie dzikich. Po obu dziedzińcach przechadzały się strusie wśród nieszkodliwych waryatów, a lwy, hyeny, tygrysy, zajmowały zakratowane celki, na wyższych piętrach ukazywały się z za krat głowy furyatów.

Ostatnie dopiero reformy, powróciły cały zakład obłąkanym, nastała dla nich nowa era. Lecz wtedy także szpital ich stawał się często więzieniem i niejeden nieszczęśliwy został zamknięty w ponurym gmachu, skutkiem samowoli i zbrodniczego gwałtu. Ileż to razy; wbrew wszelkiemu prawu, nadsyłano do szpitala rozkaz: „Zamknąć tego nieznanego waryata", podobny rozkaz wydany przez mężczyznę, wystarczał do zamknięcia w zakładzie kobiety. A smutnemu temu losowi podlegali ludzie najprzytomniejsi, jeźli narazili się czemś jakiejś wpływowej osobistości; wierzyciele paszów, słowem wszyscy niegodni lub zawadzający, zostawali w ten sposób wykreślani z liczby żyjących. Zdarzało się często, że galernicy udawali waryatów, w nadziei iż łatwiej im przyjdzie uciec z zakładu niż z czujnie strzeżonych galer. Obecnie przeciętna liczba obłąkanych w zakładzie dochodzi do 150, tyle właśnie ile początkowo było w nim urzędników i służby.

Z pomiędzy tych waryatów, bardzo mało jest dotkniętych wstrętną głupowatością żartującą sobie z biegłości i cierpliwości europejskich doktorów. Obłąkany Turek bywa zwykle spokojny, siedzi skurczony, niemy, pełen rezygnacyi. Chrześcianie stanowią większość w zakładzie *Solimana*, co da się tem tłomaczyć, że większość obłąkanych muzułmanów pozostaje wśród rodzin lub na wolności. Nie ulega przecież wątpliwości, ze chrześcianie, poddani sułtana, mają daleko większe usposobienie do obłąkania, aniżeli mahometanie. Czyżby było co prawdy w aforyzmie Esquirol'a, uważanym niekiedy za paradoks, że „W miarę postępu cywilizacyi, zwiększa się liczba waryatów".

WIADOMOŚCI.

Nowinek z warszawskiego bruku mamy kilka dosyć ciekawych. **Pierwsza** dotyczy p. Miłosza aeronauty, który z placu wystawy rolniczej wypłynąwszy w powietrzne obszary w pięć minut po wzniesieniu bujając już nad Pragą, spostrzegł, iż balon nagle i szybko idzie do góry, pomimo iż balast nie był wyrzucany, a po ciągłym obrocie aerostatu około osi, wywnioskował, iż natrafił na kołowy wir powietrza, co spotykać się daje tylko przy burzliwym stanie atmosfery.

Takie szybkie a niczem nie powstrzymane wznoszenie się kuli balonowej w najwyższe warstwy atmosfery, w których powietrze jest daleko rzadsze, mogących być przyczyną zguby aeronautów, nie mających dostatecznej ilości tlenu do oddychania, nie spotykane było dotychczas w opisach podróży balonem. Przypuszczają tylko, że taka sama katastrofa zaskoczyć musiała aeronautę Tissandier'a, który w jednej chwili wzniósł się z dwoma towarzyszami podróży do wysokości 8,000 metrów, przyczem sam jeden tylko zdołał uniknąć śmierci.

W podróży naszego aeronauty wir powietrza był zapewne mniej gwałtowny, gdyż największa wysokość do jakiej wzniósł się balon, wynosiła 2,100 metrów (dwie wiorsty). Na wysokości wspomnianej ziemia stała się niewidzialną, na chmurach ukazały się płatki śniegowe, wolno spadające na dół, termometr wskazywał tylko 3 st. ciepła Reaumura, oddychanie stało się utrudnionem, a pod chmurą dał się słyszeć silny odgłos piorunu, z czego się można było przekonać, iż balon znajduje się po nad sferą wyładowania elektryczności.

Niebezpieczeństwo powiększała jeszcze okoliczność, że odcięty od ziemi chmurami p. Miłosz nie mógł wiedzieć nad jaką miejscowością się znajduje: stan ten atoli trwał niedługo. Balon spuścił się nad lasem, bijąc łódką po pieńkach, pan Miłosz uderzony gałęzią ze złamaną ręką wyskoczył na ziemię a balon spadł dopiero w okolicy Brześcia.

Drugą nowinką, obdarzył nas teatrzyk poznański w Alhambrze, przedstawieniem farsy napisanej przez panów Wł. Buchnera i St. Cyrońskiego z Muzyką p. G. Roznieckiego. O treści jej i wartości później słów kilka powiemy. Jest to rzecz ułożona z życia Warszawiaków, przewijają się

w niej różne postacie, a reporter, który wszędzie wcisnąć się musi, wypatrzéć, podsłuchać, wreszcie domyślić i... prawdopodobną bajdę ułożyć śpiewa:

Jam reporter jestem wszędzie,
Wśliznę się za każdy próg,
A potomność sławić będzie,
Wielki geniusz moich nóg;
Gdzie się stanie fakt nieznany,
Ja za chwilę jestem tam,
Walę z Woli na Bielany,
I fakt mam!

Czy dwa grosze komu zginie,
Czy kto wpadnie w kanał, w staw,
Czy z pod mostka szczur wypłynie,
Czy kto kogo w buzię paf,
Czy gdzie kłócą się zażarcie,
Czy kto urżnął się jak drut,
Czy gdzie z bibką jest otwarcie,
Wiem jak z nut!

Czy kto potknie się i brzdęknie,
Czy zapadnie się gdzie dom,
Czy gdzie kinkiet w lampie pęknie,
Czy uderzy w kogo grom,
Czy zadynda kto na sznurku,
Czy złodzieja złapie stróż,
Czy biją się na podwórku,
Jestem już!

Gdy się pożar gdzie pokaże,
Na bok wszystko, wszystko pas,
Na sikawkę wtedy włażę,
I ze strażą jadę wraz,
Przy pożarze w dymie, w... tłoku,
Słowem wszędzie jestem sam,
I choć guzy czuję w boku,
Lecz fakt mam!

Gdy przyjedzie jaka gwiazda,
Co za gratka, ho, ho, ho!
Zaraz dryndą do niej jazda,
I wnet machnę wierszy sto:
Że jej lokaj zwie się Janem,
Piesek „dzidzi" kotka „miss",
Że kichnęła dziś nad ranem,
W tonie cis.

Gdy skandalik gdzie się stanie,
Zaraz wtykam tam swój nos,
I choć mogę dostać lanie,
W reporterski wpadam sztos,
W ruch wprowadzam perpendykuł,
Co zręczności zegar pcha,
I za chwilę jest artykuł,
Że aż ha!

Dowcipny to kuplet, uprzedza dobrze o całości, ale jeżeli w buczeniu artystów a pisku artystek mających niby śpiew przedstawiać, słowa utkną bez oddźwięku w uszach słuchaczy, to choćby arcydzieło przepadnie z kretesem a zawiedziona publiczność równie zawiedzionym autorom pokaże figę... najniezasłużeniej.

Trzecią nowinką jest zamiar założenia klubu... Cyklistek i że zwolenniczki tego sportu nietylko już zawiązały odpowiednie stowarzyszenie, ale nawet umawiają się o wynajęcie odpowiedniego terenu przy ulicy Chłodnej. Jeżeli pogloska sprawdzi się, będzie to nowość przez reporterów bardzo śledzona.

Czwartą wreszcie nowinką, jest małżeństwo... z czystej najzupełniej miłości z panną bardzo posażną zawarte, co jakoś coraz bardziej staje się rzadkością grożącą zupełnem zniknięciem.

Oto pewien Warszawiak bawiący w zakładzie kąpielowym w Druskienikach, został w tych dniach narzeczonym młodej i ładnej panny X.

Panna X., córka zamożnych rodziców z Podola, parę lat była już celem zabiegów licznych łowców posagowych. Idealne dziewczę zapragnęło pozyskać miłość bezinteresowną i po zgodzeniu się rodziców urządziło prawdziwie romantyczną mistyfikacyą.

Wtajemniczona w spisek ciotka panny X., mieszkająca w Wilnie, za pośrednictwem jednego z kantorów wyszukała dla siostrzenicy płatne miejsce panny do towarzystwa.

W tym też charakterze, jako *dame de compagnie* panna X. wyjechała z rodziną swoich chlebodawców do Druskienik i tu ją poznał nasz Warszawianin.

Naturalny wdzięk i wyższe wykształcenie młodej osoby tak się spodobały panu ***, iż niezważając na skromne stanowisko „ideału", oświadczył się o jej rękę.

Ponieważ pannie Warszawiak również się podobał, więc oświadczyny przyjęła, telegrafując jednocześnie do rodziców z prośbą o przyjazd.

W trzy dni później państwo X. przyjechali do Druskienik i naturalnie cała mistyfikacya wyszła na jaw.

Pan *** nigdy nie miał zamiaru szukać posażnej żony, a jednak ją znalazł.

— Dlaczego to ja nie byłem na jego miejscu — pomyśli sobie zapewne niejeden z łowców posagowych.

Czasopisma rossyjskie doniosły, że zarządy miasta Kijowa i Odessy, celem zwiększenia dochodów wiejskich, postanowiły starych kawalerów opodatkować, a to w celu odstraszenia od celibatu i wdrożenia w młodzież wzgardy dla bezżennych. Myśl to dobra, oparta nawet na powadze Kościoła mieszczącego małżeństwo między sakramentami, zgodna z zasadami moralności odwiecznej, wszędzie nawet w najdzikszych społecznościach szanowanej i obowiązującej. Cokolwiek osłabia powagę tego stanu, godne skarcenia publicznego, bo z uprawnieniem celibatu, małżeństwo strąca się z piedestału świętości i obrzuca lekceważeniem zasady moralności publicznej.

Mimo tego przekonano się, że wszelkie dążności urządzenia kontroli nad sposobem życia prywatnego do niczego nigdy nie doprowadziły. Nie ze względów więc moralnych starzy kawalerowie winni być opodatkowani, ale wprost z uwagi, że jako nieponoszący trudów nieodłącznych od małżeńskiego stanu, winni więcej się przykładać do ciężarów publicznych. Z tego wychodząc stanowiska, wyzysk z nich podatkowy zupełnie będzie usprawiedliwiony.

Na polu zarobkowej pracy, kobiety zwolna ale ciągle nowe robią zdobycze. Gazety donoszą, że pani Marya W. Coons w Nowym-Yorku przebyła świetnie egzamin na sternika i retmana i natychmiast po otrzymaniu świadectwa objęła komendę nad jachtem parowym „Elizabeth". Nie jest ona jednak pierwszym dowódcą parowca; w roku 1884 kapitanem parowca handlowego „Saline" była pani Marya M. Milter z Nowego-Orleanu, złożywszy poprzednio odpowiedni egzamin.

Tramwaje w Chilli obsługiwane są wyłącznie przez konduktorów-kobiety, których ubranie stanowi granatowy uniform i wielki słomiany kapelusz. Dzięki może tej innowacyi, ruch pasażerski na wszystkich liniach jest olbrzymi, tak np. w Santjago, mającem 240,000 m., w ubiegłym roku sprzedano ogółem biletów 20,730,000.

Sądzimy, że i u nas kobiety mogłyby obowiązki te spełniać z równym co i mężczyzni pożytkiem. Próba byłaby wielce pożądaną.

Kurs metodologiczny w nauce religii. „Dochodzi nas wiadomość — pisze „Dzien. Poz."—że w Górczynie pod Poznaniem, ma się niebawem rozpocząć kurs metodologiczny dla nauczycieli z wiejskiego okręgu inspektora szkolnego p. Sahwalbe. W kursie tym mają nauczyciele katoliccy poznawać metodę, podług której należy uczyć dzieci polskie religii po niemiecku.

„Nic podobnego nie było jeszcze zapewne w naszej okolicy.

„Wiemy, że uczniowie katoliccy szkoły górczyńskiej, mówią w domu li tylko po polsku, po polsku się modlą i że tylko o tyle mówią po niemiecku, o ile ich szkoła tego nauczy. Żadną więc miarą nie mogą z nauki o wierze, o Bogu, o Sakramentach świętych, o łasce Bozkiej i t. d., udzielanej im po niemiecku odnieść korzyści. Dzieci polskie można nauczyć nietylko w niemieckim, ale i w każdym innym obcym języku pewnych zdań na pamięć; ale czyż nauka pamięciowa jest jedynem celem religii? Przy najlepszej nawet chęci zaszczepienia w dzieciach polskich zasad moralnych, przy najlepszej chęci uszlachetnienia ich serca, nie można tego dokazać, ucząc dzieci religii w danym języku. Cóż pomoże i najlepszy wykład, gdy niezrozumiały dzieciom, nie trafi do ich serca.

„W kursie więc można będzie tylko pokazać, że nauka religii ma dziś inne niż dawniej przeznaczenie, że dziś służyć ma jedynie za środek do przyswojenia dzieciom polskim większej wprawy w niemieckim języku.

„Matki polki wiedząc o tem, powinny tem więcej zajmować się dziś uczeniem swych dzieci prawd wiary, powinny uczyć je kochać Boga i bliźnich, powinny je często prowadzić do kościoła, śpiewać z niemi w domu nabożne pieśni i zaszczepiać w sercach ich wzorowem wychowaniem cnoty ojców naszych."

Jedzenie kwiatów jest najnowszym wybrykiem mieszkanek Nowego-Yorku. Smażone w cukrze fijołki największą cieszą się popularnością, a funt tego nowego przysmaku kosztuje 6 dolarów. Listki róży w cukrze niemniej są pożądane i sprowadzane bywają z Francyi. Może zachęceni tym przykładem płci pięknej, yankesi wprowadzą do swych klubów ostatni ulubiony napój zmarłego króla bawarskiego, zwany *Veilchenbowle*, a złożony z wina białego i szampańskiego i podawany w wazie grubą warstwą świeżych fijołków pokrytej.

Skrzydlate zastępy ptaków, są zagrożone ogromnem przerzedzeniem z powodu panującej mody, która każe damskie kapelusze ozdabiać piórem, skrzydłem, główką lub całym korpusem ptasim. Statystyka wskazuje, że handel tym towarem prowadzony jest na wielką skalę. Przywóz do Anglii samych piór oceniony jest na 40 mil. szylingów, a transport całych ptaków na 1 i pół mil. Z Indyi angielskich przywieziono piór za 30 mil. szylingów. W południowej Afryce, gdzie, jak wiadomo, hodują strusie, w r. 1883 wyprodukowano piór za 30 mil. marek. Na nieszczęście moda nie ogranicza się samem egzotycznem ptactwem, lecz w ostatnich czasach poczyna pożądać ozdób z pożytecznego ptactwa krajowego i przyczynia się w wysokim stopniu do jego wytępienia.

Brawura żołnierska. W bitwie pod Królowym Grodem w r. 1866 trafiła kula jenerała hr. Festeticza tak nieszczęśliwie w nogę, że musiano podjąć natychmiastową amputacyę. Podczas operacyi zanosił się stary sługa jenerała od płaczu. Hr. Festeticz, słysząc jęki, wyrzekł: „Patrzcie na tego obłudnika. Wyje, jak gdyby mu żal było mojej nogi, a w istocie cieszy się, że będzie odtąd czyścił tylko jeden but."

Sułtan Abdul-Hamid. Według dzienników zagranicznych, sułtan Abdul-Hamid porzucił tradycyjny sposób życia padyszachów, polegający jak wiadomo, na zupełnem niewglądaniu w sprawy państwa i doszedł do przeciwnej ostateczności, nic prawie nie pozostawia ministrom, lecz wszystko osobiście załatwia, depesze nawet własnoręcznie redaguje, oraz na wszystkie odebrane odpowiada pośrednio, dając swoje rezolucye. Zarówno w ministeryum wojny, jak w intendenturze oraz sprawach zagranicznych, sułtan usiłuje być wszystkiem, spełnia czynności sekretarskie i ani jeden wiersz nie może być napisany bez jego wiedzy. Drobiazgowość swą posuwa tak dalece, iż wymaga, aby przy proponowaniu do awansu rozmaitych osób, komunikował mu minister życiorys każdej osoby. Muszą tedy ministrowie utrudzać swą wyobraźnię, komponując biografie często niebywałe. Najowocniejszą działalnością Abdul-Hamida mają być starania jego około oświaty ludowej, szczególną uwagę zwrócił sułtan na szkoły elementarne.

Autor Marsylianki, oficer artyleryi, Rouget de l'Isle, miał brata, który był jenerałem brygady. Jedna z dam honorowych małżonki Ludwika Filipa, zapytała pewnego razu jenerała, dlaczego skoro tak długo dowodził brygadą, dano mu dymisyę, nie zamianowawszy go jenerałem dywizyi? „Sprawy rodzinne, łaskawa pani" — odparł jenerał — „mam siostrzenicę, która mi bardzo zaszkodziła". „Siostrzenicę? Jaką?" „Córkę mego brata". „Ah! brat pana pozostawił córkę?" „Tak jest Marsyliankę, i tej nie przebaczono mu nigdy!"

Święto narodowe francuzkie.

Rocznica ogłoszona Rzeczypospolitej we Francyi, jak w latach zeszłych tak i obecnym obchodzoną była z największą uroczystością.

Mimo niepewnej pogody plac wyścigowy i przyległe aleje zapełniły tłumy w liczbie najmniej 300,000. Niemniej przybyło z jakie 10,000 powozów.

O godzinie 3 zaczęło wojsko nadciągać: bataliony, które powróciły z Tonkinu, powitały tłumy okrzykiem: „Niech żyje Rzeczpospolita!"

Punkt o godzinie 4 zagrzmiały działa.

Z Bois de Boulogne w pełnym galopie wyruszyli kirasyerzy, za nimi sztab jeneralny i oficerowie obcy, minister wojny Boulanger, gubernator Paryża jenerał Saussier, dalej w zamkniętym powozie prezydent Rzeczypospolitej Grévy wraz z ministrem prezydentem Freycinetem.

W chwili kiedy Grévy stanął na stopniach trybuny, trębacze zagrali marsz jeneralny, muzyki wojskowe marsyliankę, a wojska sprezentowały broń.

Prezydent, który stał na stopniach trybuny z odkrytą głową, podziękował ukłonem, a z tłumów ozwał się okrzyk na cześć jego

W ciągu tego czasu jenerałowie i pułkownicy rozdawali ordery pomiędzy zasłużonych żołnierzy, niektórych dekorowanych ściskając i całując przed frontem. Widok ten wrażliwą publiczność francuzką wzruszył do żywego i kiedy jenerał Boulanger zbliżał się do trybuny, tłum cały wybuchnął okrzykiem: „Niech żyje Boulanger! Niech żyje Rzeczpospolita!"

Tymczasem chmurne dotąd niebo wypogodziło się i słońce olśniło plac rewii.

Jenerał Boulanger zbliżył się znowu do loży prezydenta z zapytaniem, czy może rozpocząć defiladę wojska.

Pierwsze przedefilowały oddziały, które powróciły z Tonkinu.

Turkosi i ich kapela zwracały uwagę ogólną.

W ciągu całej defilady wojska publiczność wznosiła ciągle okrzyki na cześć Rzeczypospolitej.

Jak zazwyczaj publiczność zajmowali najwięcej uczniowie szkoły St. Cyr, gwardya repulikańska i pompierzy, niemniej jednakże wyrażano zadowolenie z postawy batalionów liniowych.

W ogóle, postęp we wszystkich oddziałach wojska jest widoczny, rozkazy wszystkie zostały ściśle wykonane.

Wszystkich oczy zwracała na siebie markietanka, odznaczona trzema orderami, ubrana w szerokie czerwone spodnie, kamizelkę, żakiet z wyłogami i rodzaj czaka na głowie.

Po defiladzie 15 tysięcy piechoty, postępowała artylerya z 118 działami i 3,000 kawaleryi różnego rodzaju.

Postęp w kawaleryi uderzający, a szczególnie kirasyerzy wyglądali dziarsko.

Rewia skończyła się w ciągu półtorej godziny plac został opróżniony.

Prezydent Grévy wraz z Freycinetem wsiedli wreszcie do powozu, za nimi konno stanęli minister wojny i gubernator wojenny Paryża, a kiedy powóz ruszył z miejsca, tłum jakby na komendę ozwał się: „Niech żyje Grévy! niech żyje Rzeczpospolita!"

Widząc te ożywione oblicza i słysząc te z serca płynące okrzyki, trudno przypuścić, aby monarchiści mieli jeszcze dla siebie jakie widoki we Francyi.

Stowarzyszenia alzackie i Ligi narodowej, ze sztandarami, okrytemi krepą na znak żałoby, przedefilowały jak zwykle i statuę Strassburga całą okryto wieńcami.

Wieczór odbyły się festyny i uroczystości ludowe wśród pięknej pogody.

Godnem także jest naznaczenia, że wszystkie uroczystości odbyły się w jak największym porządku i nigdzie policya nie potrzebowała interweniować.

ROZMAITOŚCI.

Złożenie broni.

Znany literat niemiecki, Paweł Lindau, w wydawanym przez się miesięczniku „Nord und Süd", opisuje odbytą przez siebie niedawno podróż do Paryża: głównie budzą interes w tym opisie sylwetki niektórych literatów francuzkich, Adolfa Bélot, Edwarda Paillerona i Emila Augier.

O tym ostatnim autor pisze: „Emil Augier, najsympatyczniejszy dla mnie ze wszystkich pisarzy francuzkich, spotkał mnie z otwartemi ramionami. Często widywałem się z nim podczas swojego pobytu w Paryżu. Augier jest Francuzem czystej krwi, ale obce mu są przesądy narodowe. Zapytałem go naturalnie, dlaczego zaprzestał pisywać dla teatru po wystawieniu komedyi „Les Fourchambault". „Mój przyjacielu odrzekł mi Augier, przekonałem się z doświadczenia, że pisarz nigdy się w czas nie zatrzymuje, zawsze albo zawcześnie albo zapóźno. Zdecydowałem się na pierwsze z dwojga dla następującej przyczyny. Kiedym był jeszcze młody i powodzenie moje dopiero się zaczynało, odwiedziłem razu pewnego znanego dyrektora teatru. Ten przyjął mnie w gabinecie swoim bardzo uprzejmie, podczas rozmowy służący podał mu kartkę wizytową. Po przeczytaniu jej dyrektor zrobił grymas i rzekł: „Nie przyjmuję. Niech ten stary natręt da mi spokój." Rzuciłem okiem na kartkę i wyczytałem na niej nazwisko Scribego. Oto jak był przyjmowany dramaturg, któremu teatr francuzki zawdzięcza największe powodzenia swoje. Wtedy ślubowałem sobie, że ze mną nigdy nic podobnego się nie zdarzy. Nie chcę, aby dyrektor teatru mówił mi przez lokaja, że nie przyjmuje. Oto dlaczego postanowienie moje jest niezłomnem. Pędzę żywot prosty. Teatr nie sprawia mi już przyjemności. Doświadczyłem tego, gdy wznowiono dramat „L'Aventurière". Repetycye dokuczyły mi, drażnią mnie one, dlatego też przestałem pracować dla sceny. Jestem bezdzietny; żonę kocham z całego serca, jak przystało starcowi sześćdziesięcioletniemu; odkąd nastąpił zmrok życia, oboje z pokorą i nabożeństwem oczekujemy tej chwili, gdy nas noc otuli."

Z dziedziny humorystycznej.

DZIKI I CYWILIZACYA.

(Fraszka z „Budilnika").

Pozwólcie mi — powiada „Budilnik" — opowiedzieć sobie słów parę o błogosławionych skutkach cywilizacyi w Afryce.

Cywilizacya ta podeszła do chaty jednego z mehmedków afrykańskich i zastukała do drzwi.

— To ja cywilizacya! Otwórzcie w imieniu prawa!

— A czego to żądasz tutaj?

— Chcę cię ucywilizować!

— Cóż to u licha znaczy?

— No, chcę uczynić z ciebie ucywilizowanego człowieka. Przedewszystkiem chcę, abyś się przyodział przyzwoicie. Masz tu parę koszul, parę majtek, kamizelkę, surdut, cylinder i parę wełnianych rękawiczek!

— Zwaryowałaś czy co? Przy 60 stopniach gorąca, toż to śmierć w takim garniturze!

— Głupstwo!... Jeżeli nawet umrzesz, to umrzesz porządnie, jak człowiek ucywilizowany. Ale powiedz czem się ty trudnisz? Czy masz w ręku jakie rzemiosło?

— Mam trochę pola, co mi rodzi cztery razy do roku. Sieję, zbieram, jem, śpię, no i kwita?

— O nie, to tak być nie może! Albo musisz się zająć czemś stale, albo cię zapiszę za włóczęgę.

— To otworzę kawiarnię, mam akurat spory zapas kawy i cukru.

— Wybornie. A ile też jak sądzisz będziesz mógł zarabiać dziennie?

— Czy ja wiem? Może dziesięć złotych, może...

Cywilizacya mruczy pod nosem:

— Dziesięć złotych dziennie, to na miesiąc 300, czyli 3,600 na rok.

Potem powiada głośno:

— Wybornie, to będziesz mi płacił rocznie po 240 złotych.

— Tobie? A za co?

— No, podatek dochodowy. O drobiazgi zaraz się umówimy.

— Jakto, jeszcze będą i drobiazgi?

— Tak, ale to już głupstwo poprostu. Podatek przemysłowy, cały kram 40 złotych rocznie! Wywiesisz jaki szyld porządny przecie?

— Naturalnie.

— No, więc i za szyld zapłacisz. Dasz coś także za prawo wystawienia towarów w oknie...

— Ej, to wolę nie otwierać wcale kawiarni.

— Zwaryowałeś czy co? To tak ci tylko z początku będzie markotno. A jakże się nazywasz? trzeba cię przecie do ksiąg zapisać.

— Mehmed.

— Mehmed?... To wy tu widzę wszyscy Mehmedy. Trzeba ci dać przezwisko jakieś. Ale jakie? Masz nos do mopsa podobny, no to będziesz „Mehmed psia morda".

— Wolę „owcza morda".

— Dobrze!... Dawaj 4 złote na opłatę stemplową. Dzieci masz?

— Siedmioro.

— Trzeba ich także zapisać.

— I także zapłacić za to?

— Nie, to się już bezpłatnie zrobi, tylko na każdej metryce potrzeba przykleić stempel za 2 złote. Rodziców masz?

— Ojciec umarł w tych dniach.

— A majątek jaki zostawił?

— Dziesięć woreczków kawy.

— To oddawaj mi zaraz jeden.

— Za co?

— No, podatek przecie spadkowy! Masz i tak okrutne szczęście! Gdyby to nie po ojcu, tylko po jakimś tam dalszym krewnym, tobyś musiał cztery razy tyle zapłacić.

— Prawda, że szczęście.

— Gdzie ojciec pochowany?

— Tu zaraz obok chaty.

— Nie można! Trzeba koniecznie na cmentarzu. Dawaj za to 40 złotych.

— Zkądże wezmę?

— To dawaj woreczki z kawą!

— Więc jakże kawiarnię otworzę?

— A to już sam sobie łam głowę o to, wybierz sobie inne zajęcie.

— Nic innego nie potrafię.

— To najpierw zapłacisz karę, a potem do kozy pójdziesz:

— Do jakiej tam znowu kozy?

— Nie wiesz co to koza? Takie miejsce, gdzie się będziesz uczył moralności, siedząc z różnymi łapserdakami.

— Moja ty cywilizacyo, zrób mi tę wielką łaskę i idź sobie do wszystkich dyabłów.

* * *

Skutki roztargnienia. Uczeni, literaci i artyści posiadają przywilej na roztargnienie. Wolno im być nieuważnymi i nieprzytomnymi. Szkodzi to najczęściej tylko im samym. Skutków roztargnienia doznał w tych dniach prof. K. z Pesztu, który jechał z małżonką swoją do Karlsbadu. Zajęty innemi sprawami zapomniał uczony w hotelu w Wiedniu swoich pakunków, o czem się dopiero w drodze do Pragi dowiedział. Obawiając się o swoje rzeczy, poprosił żonę na jednej z mniejszych stacyi, aby wysiadła z wagonu i telegrafowała do hotelu wiedeńskiego. Pani uczyniła zadość woli swojego małżonka, lecz zanim zredagowała telegram odjechał pociąg. Strapiony profesor, dojechawszy do Pragi, wsiadł natychmiast do innego pociągu, idącego z Pragi do Wiednia i wracał po żonę. W pośpiechu jednak zapomniał znów wyjąć z wagonu manatki pani. Gdy przyjechał na ową stacyę nie zastał żony, która zdążała już innym pociągiem do Pragi. Tak więc zgubił uczony profesor przez roztargnienie w drodze: swoje rzeczy, pakunki swojej żony, w końcu ją samą. Dopiero nazajutrz znaleźli się małżonkowie w Pradze.

* * *

Jeden z moich znajomych przez roztargnienie, wciskając kapelusz na własną głowę, okrytą już czapką, gniewał się, że tak ciasny kapelusz musi przyjąć w zamian za czapkę, którą mu zabrano a jaką właśnie miał na głowie nie wiedząc o tem.

Drugi wychodząc z odwiedzin, laską grzebał pod szafami i komodami, mrucząc pod nosem z wielkiem niezadowoleniem.

Gdy go spytano czego szuka?

— Laski — odrzekł — którą mi ktoś zabrał — i rozśmiał się sam z siebie, bo w tej chwili poznał, że szukał tego co miał w ręku.

Podobnie roztargnionych i w mowie można wielu spotkać.

— Ah! jak się masz — mówi do mnie jeden z podobnych. — Cóż tam u ciebie słychać? Ale żegnam cię i przepraszam bo bardzo jestem zajęty. Dziś jadę za dwie godziny, nie wrócę aż za dwa tygodnie, ale będę u was jeszcze jutro, do widzenia więc, do widzenia!

* * *

Za panią matką pacierz. Paplą po francuzku salonowcy, naśladują ich i brukowcy.

W jednej sali tanecznej przystępuje do młodej dziewczyny wykrygowany kowalczyk i mówi:

— *Bandażuję* pannę Zosię do kontrydansa.

— Nie mogę — odpowiada Zosia — bo już jestem obszalowana.

NOWE WYDAWNICTWA.

Postęp, szczęście i przewroty społeczne. Chłodne uwagi o palących kwestyach napisał Władysław Michał Dębicki, wydanie drugie uzupełnione przez nakład księgarni Wojciecha Cithurusa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 60. Cena na miejscu rs. 1, z przesyłką pocztą rs. 1 kop. 25.

Dwudziestoletnia działalność zakładu rękodzielniczego dla kobiet od roku 1874 do 1886, przy placu Zielonym Nr. 16.

Sprawozdanie obejmuje: Słowo wstępne. — Rys historyczny. — Statystyczne wiadomości dotyczące uczenic. — Wnioski z tych danych. — Objaśnienia i konkluzja. — Przepisy Zakładu Rękodzielniczego dla kobiet. — Przepisy dla uczenic. — Skład osobisty Zakładu. — Treść wykładów. — Spis uczenic, które ukończyły kursa z odznaczeniem. — Ogólny spis uczenic. — Spis uczenic, które otworzyły pracownie i zakłady rękodzielnicze. — Buchalterki. — Bilans dwunastoletni Zakładu Rękodzielniczego.— Dodatki rocznych sprawozdań. — Projekt ustawy Stowarzyszenia pomocy pracy kobiet.— Wyciąg z mego Testamentu.— Zdania o nim pism Warszawskich.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 30 wyszedł z druku i zawiera:

Kilka rysów z dziejów Francyi. — Przed wschodem słońca (wiersz). — Książę i biedak. — Polowanie z sokołami (drzeworyt). — Najpiękniejsze widoki z południowego brzegu Krymu (z drzeworytem). — Roślinność na wyspie Jawie (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Rozmowy kwiatków (wiersz). — Fałszywy wstyd. — Kapelusz i czapka (wiersz). —Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1539 (26 nowy)

Dodatek.



N. 4. Połowa deseniu do ryc. 6 w N-rze 29.



N. 2. Deseń szlaku do ryc. 1 i 3. Płaskorzeźba.

Opis do N-ru 30.

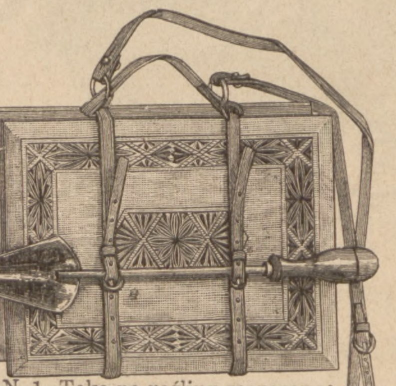
(*Dokończenie*)

N. 16. Ubranie dla dziewczynki lat 5—7.

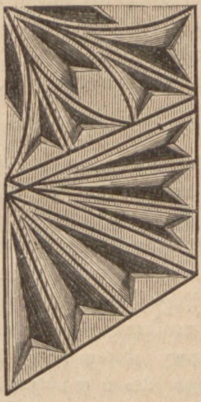
Spódniczka ułożona w szerokie fałdy zszyta jest z poprzecznie danych pasów haftu i materyału. Paletocikowy staniczek ma szeroko otwarte przody zakończone haftowanemi ranwersami, takiż szeroki kołnierz wykładany i wązki stojący kołnierzyk. Kamizelka marszczona u dołu opuszczona w bufę. Kapelusz z włoskiej słomki przybrany tiulem.

N. 17. Suknia z koronkowego materyału. Patrz ryc. 19 w N. 29.

Z pod otwartej z przodu tuniki z wełnianego koronkowego materyału, widać plisowaną spódnicę z białej wełnianej krepy. Stanik marszczony ma w górze karczek w formie szpiczastego zęba, zakończony haftowaną wszywką, przewleczoną trzy razy wązką atłasową wstążeczką; takaż wszywka dana wzdłuż rękawów i przytrzymuje szeroką szarfę z wstążki, przewiązaną na biodrach. Plecy stanika przemarszczone są ściśle u dołu,



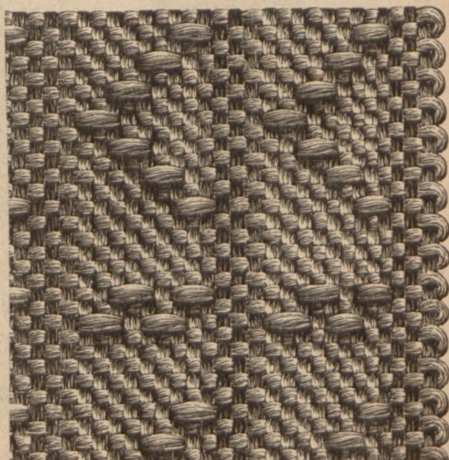
N. 1. Teka na rośliny zasuszane. Patrz ryc. 2—3.



N. 3. Część deseniu na rozetę środkową do r. 1. Płaskorzeźba.



N. 5. Ubranie do pływania z materyału tkanego ręcznie. Patrz r. 6 i ryc. 42 w N-rze 29.



N. 6. Próbka materyału tkanego ręcznie, do r. 5



N. 26. Toczek dla młodej panienki.

przody zaś opuszczone w szeroką bufę spadają na sutą kokardę szarfy. Tylny bryt tuniki przemarszczany w odstępach w górze, złączony jest ze stanikiem, albo też może być krajany formą princesse w jednym ciągu z plecami. Kapotka naszyta perełkami, zdobna bukietem kwiatów.

N. 18—19 i 28. Poduszeczka do szpilek podwójnych.

Podstawę stanowi koszyczek pleciony z trzcinki żółtej i bronzowej, 15 cent. długi 11 szeroki a $5 \frac{1}{2}$ wysoki, napełniony białem włosieniem przytrzymanem z wierzchu siatką szydełkową z cienkiej zielonej włóczki, kręconej ze złotem. Siatkę robi się rzędami tam i napowrót, po 5 o. pow. i 1 o. śc. w środek ząbka. Przy brzegach podłużnych koszyczka przyszyte są dwa trójkąty, schodzące się rogami do środka, z bronzowej kanwy złotem przerabianej, ozdobione wyszyciem, którego deseń w naturalnej wielkości daliśmy na ryc. 28. Kontury obwiedzione są sznureczkiem, środki wyszyte długim ściegiem, jedwabiem ponsowym, oliwkowym i niebieskim. Brzegi trójkątów zakończone są sznelą kręconą. Boki poduszeczki zdobią pompony w kolorach haftu. Rycina 19 przedstawia szpilkę kręconą, praktyczną w użyciu, bo nie wysuwającą się z włosów.

N. 20—23. Biżuterye.

Rycina 20 przedstawia naszyjnik złocony, wyrobiony ażurowo, 40 cent. obwodu mający, a 1 c. szeroki, zapinany z tyłu; środkowa część naszyjnika z przodu ozdobiona kolorową emalią i perłami, u dołu zakończona wiszącemi sznureczkami złotych pereł. Szpilka do głowy wyrobiona z szyldkretu zdobna rozetą ażurową pozłacaną, w środku emaliowaną zielono z promieniami ponsowemi i kropkami białemi naśladującemi perełki. Rycina 22 i 23 przedstawia broszę i bransoletkę przy których zamiast modnych dotychczas starożytnych gipskich amuletów zawieszanych jako porte-bonheur, widzimy niezmiernie od jakiegoś czasu uprzywilejowany listek koniczyny oprawiony w kryształową kulkę. W broszy kryształ z listkiem oprawiony jest w grubą obręczkę niklową zakończoną gałeczkami; odpowiednia bransoletka niklowa w kształcie obręczki na jednym końcu zakończonej kółkiem złoconym, na drugim haczykiem, który się w kółko zakłada; kryształ z listkiem koniczyny zawieszony jest jako brelok.

N. 24. Sukienka z paletocikiem, dla dziewczynki lat 8—10.

Może być odrobiona zarówno z cienkiego wełnianego materyału lub też z letniego bawełnianego wyrobu. Spódniczka 38 cent. długa 280 obwodu mająca, na środku przodu ułożona jest w płaską kontrafałdę 6 cent. szeroką, z boków zaś w potrójne kontrafałdy 26 cent. szerokie; tylny bryt jest zmarszczony w górze. Stanik paletocikowy ma luźne przody otwarte na kamizelce 37 cent. długiej, z boku zapinanej. Plecy wcięte do figury, dopełnione są upięciem, z oddzielnego kawałka materyału, 58 cent. szerokiego, 92 długiego. Wszystkie szwy stanika są u dołu nie doszyte na 12 cent., jak również rękawy; rozporki te są następnie zesznurowane wstążką, 3 cent. szeroką, związaną u dołu w kokardę. Jak to widać na ryc. 24 w przodach dane są przecięcia 16 cent. długie także zasznurowane wstążką.



N. 9. Kapelusz okrągły zdobny koronką i piórami.



N. 11. Suknia z vêtement dla młodej panienki. N. 12. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8. N. 13. Ubranie spacerowe. N. 14. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz r. 15. N. 16. Ubranie dla dziewczynki lat 5—7. N. 15. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz r. 14, N. 17. Suknia z koronkowego materyału. Patrz ryc. 19 w N-rze 29.

N. 25 i 29. Woreczek płócienny z wyszyciem krzyżykowem.

Uszyty jest z płótna białego w kratkę niebieską; brzegi boczne złożone są do środka i zszyte z sobą w sposób wskazany na ryc. 29; każdy ścieg przejmuje się z dołu do góry przez obydwa brzegi a w środku przeszywa małym ściegiem, zaczepionym od spodu przez ścieg poprzedni. W tenże sam sposób zszywa się dolne brzegi woreczka; górny brzeg wywinięty jest na 16 cent. szerokości i podszyty listewką do ściągania na sznur nawleczony w dwie strony.

N. 26. Kołnierzyk z krawatką.

Skośny kawałek białego indyjskiego muślinu, złożony w dwie fałdy, opasuje stojący kołnierzyk z haftu madeira, 5 cent. szeroki. Końce muślinu oszyte są szeroką koronką; węzeł środkowy otoczony jest fałdowaniem ułożonem w półkole.

N. 27. Koronka szydełkowa do sukien, serwetek i t. p.

Odpowiednio do przeznaczenia koronki dobiera się bawełnę; każdy kwiatek robi się oddzielnie, a jeden z drugim łączy 1 o. śc. za czubki dwóch listków 10 o. pow. złączonych w kółko stanowi środek każdego kwiatka, zapełniony następnie pająkiem dodanym igłą. Na pierwszy listek robić * 9 o. pow. w które zajmuje się 1 o. śc., 5 sł. 1 o. śc. i 1 o. łań., następnie listek obrabia się w około nizkiemi oczkami, przybierając 1 o. na czubku. W ten sposób odrabia się wszystkie listki powtarzając od gwiazdki; po skończeniu listków łączą się one z sobą od lewej strony na wysokości trzeciego sł. i nakoniec dodaje się ogonek z 7 o. pow. obrobionych o. śc., podług ryciny 27. Nagłówek górny zaczyna się rzędem łańcuszka z pikotami, obrobionego rzędem o. śc. i rzędem sł. przedzielanych pikotami z 3 o. pow. złączonych 1 o. śc.



N. 8. Berecik słomkowy.

Przepisy gospodarskie.

Konfitury z wisien.

Wyjąć piórkiem pestki z wisien, zważyć cukru tyle, ile jest funtów wisien, nalać na każdy funt cukru szklankę wody, postawić na ogniu, aby się zrobił syrop, który należy dobrze smażyć i szumować, potem sparzyć nim wiśnie, na konfiturę oddzielone, tak czynić codziennie przez dni 8, odlewając z wisien syrop codzień, i gotowanym codzień zalewać: dziewiątego zaś dnia po zagotowaniu syropu, wrzucić wiśnie i razem smażyć, szumując doskonale, dopóki syrop i wiśnie po zastudzeniu marszczyć się nie poczną. Wystudziwszy zatem zlewać je w słoiki, które jak się wyżej powiedziało, opatrzone być powinny.

Wiśnie szklane.

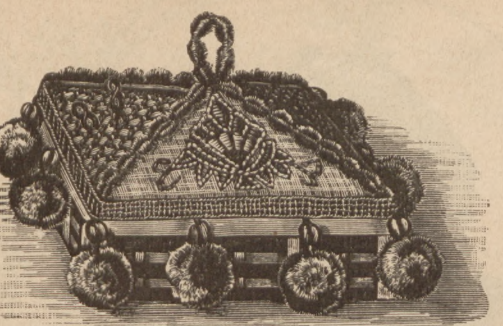
Po wyjęciu pestek, zważyć cukier, w stosunku trzech ćwierci funta do funta wisien cukrem miałkim przesypywać warstwy wisien i tak zostawić na 24 godzin: sok po trzy razy smażyć i nalewać na wiśnie, nakoniec gdy syrop gotujący się już gęstnieć pocznie, wrzucić do niego wiśnie, by się dosmażyły, dla odjęcia im surowości.

Porzeczki.

Po ostrożnem wydrążeniu z pestek, przepłókać je zimną wodą na przetaku, a to, żeby zachowały jaśniejszy kolor, po obsiąknięciu ich z wody, zrobić syrop z 3 części przeznaczonego cukru i polewać nim porzeczki: to powtórzywszy kilka razy, dodać w końcu resztę cukru, syrop przesmażyć i na chwilę wrzucić doń porzeczki, które zasmażywszy kilka razy na tęgim ogniu, często zdejmując rądel i potrząsając, gdy już syrop prawie cią-



N. 10. Kapelusz okrągły zdobny wstążką tiulem i kwiatami.



N. 18. Poduszka do szpilek podwójnych. Patrz ryc. 28.



N. 19. Szpilka kręcona.



N. 20. Naszyjnik. N. 21. Szpilka do głowy. N. 22. Brosza. N. 23. Bransoletka.



N. 24. Sukienka dla panienki lat 8—10.

gnąć się będzie, wylać na salaterkę, zastudzić i w słoiki łyżką nakładać, wraz z syropem, którego powinno być dosyć. Niektórzy drążą porzeczki, nieobrywając ich z gronek i tak je smażą.

Sok wiśniowy z cukrem.

Tłuką się wiśnie z pestkami, aby sok przejął się ich zapachem; cedzi się przez czyste płótno, a gdy postoi nieco, znowu drugi raz się przecedza. Teraz do każdego funta soku przydaje pół funta cukru tłuczonego, trochę cynamonu i goździków, gotuje się szumując do czysta. Gdy już perły wybijać poczyna, dochodzi do swej dobroci: co się próbuje, zastudzając krople płynu na talerzu. Gdy kropla po nachyleniu talerza zatrzymuje okrągłość, znakiem jest, że sok jest dobry: przez zbyteczne smażenie traci swój kolor. Po ostudzeniu zlewa się w butelki, które, gdy już można być pewnym tego zupełnego ostudzenia, korkują się dokładnie.



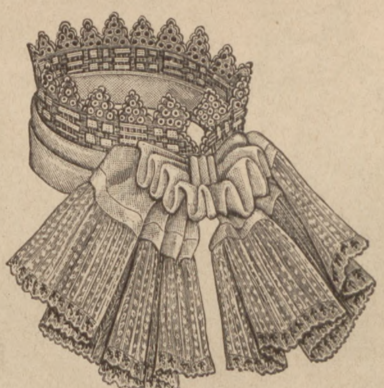
N. 25. Woreczek z wyszyciem.

Sok porzeczkowy.

Obrane z gałązek porzeczki, rozgniatają się warząchwią w naczyniu, a potem sok scedza się przez czysty woreczek płócienny; następnie stawia się go, aby się sklarował, tak sklarowany zlać znowu do mosiężnego kociołka, i na każdą kwartę soku dodać funt cukru w kawałkach i smażyć, dopóki nie będzie gęstawy. Wystudzony przelewa się do butelek.

Sok malinowy.

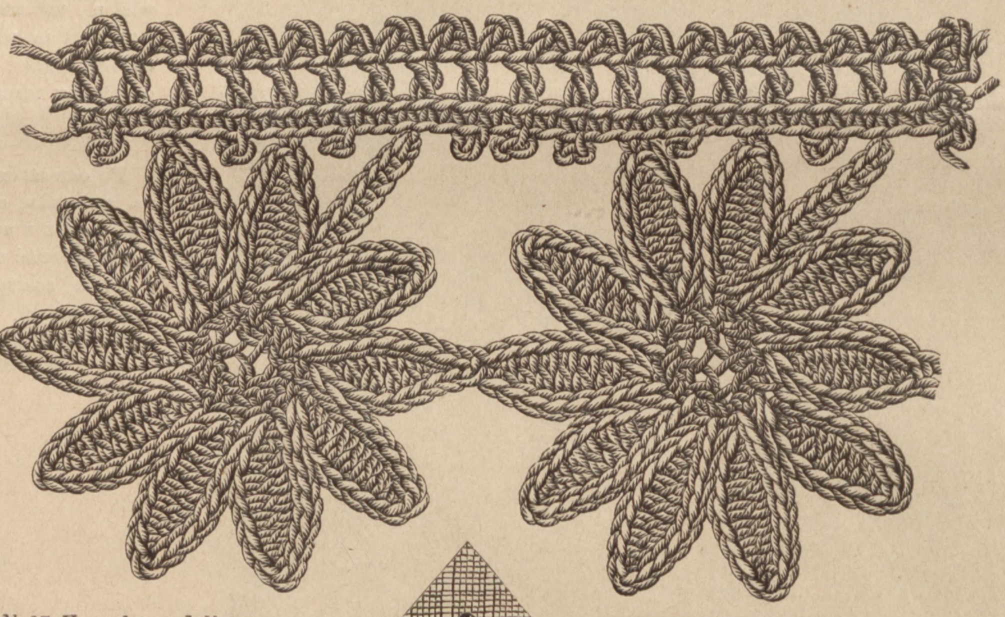
Skoro obrane zostaną maliny, zaraz należy z nich sok robić, bo gdy postoją, kwaśnieją i robaki się w nich lęgą. Zupełnie dojrzałe maliny, tak jak wszystkie jagody, rozcierają się w naczyniu, zostawiają następnie przez chwilę w chłodnem miejscu. Przecedzić sok przez worek i do funta soku, wziąść funt cukru, szumując gotować do przyzwoitej gęstości, a wreszcie wychłodziwszy zlać do butelek.



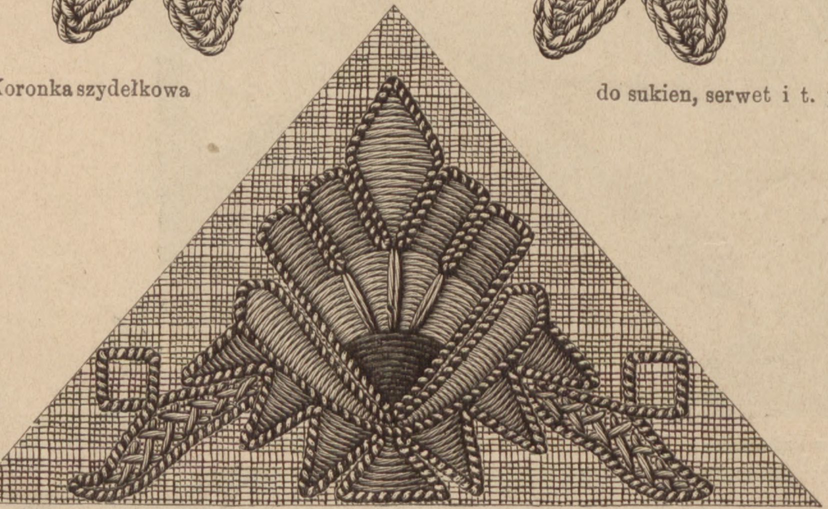
N. 26. Kołnierzyk stojący z krawatką.

Sok agrestowy.

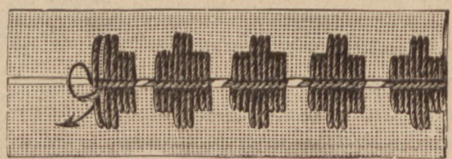
Dojrzały agrest z równą częścią porzeczek co do wagi, wyciska się przez płótno, zostawia się na czas niejaki dla ustania się, przecedza znowu to, co się ustanie, wlewa do kociołka i gotuje szumując: poczem przydaje się część trzecia tego, co sok zaważy cukru, i smaży do gęstości zwykłej sokom.



N. 27. Koronka szydełkowa do sukien, serwet i t. p.



N. 28. Haft do ryc. 18.



N. 29. Sposób zeszycia brzegów, do r. 25.



N. 30. Suknia letnia kretonowa. Patrz opis ryc. 1 w N-rze 29.



N. 31. Ubranie strojne letnie. Patrz opis ryc. 2 w N-rze 29.